

Kosik Rafał

Coś, czego nigdy nie pamiętamy

Z „Science Fiction”

- Potrójna premia literowa i sześćdziesiąt dziewięć punktów! Yes!! - Jola zatarła ręce i dodała punkty do tabelki na kartce.

- Szkoda, że nie zaczęliśmy grać dwa piwka wcześniej - powiedział Andrzej przekładając płytki z literami na stojaku i próbując ułożyć z nich jakiś sensowny wyraz. Pociągnął łyk piwa z puszki.

- Miałeś nie pić przy dziecku.

- Piję, kiedy nie patrzy, kochanie.

Kacper nie patrzył. Jak większość czterolatków nie umiał czytać i gra polegająca na układaniu wyrazów zupełnie go nie interesowała. Budował z klocków wieżę, która śladem kilku poprzednich miała wkrótce runąć w gigantycznej katastrofie wzbudzając kolejną falę wyrzutów ze strony rodziców. Efekt, przynajmniej ten w wyobraźni dziecka, wart był wysłuchania reprimendy.

Andrzej ułożył na planszy swój wyraz i z przykrością doliczył się tylko siedmiu punktów. Sięgnął do woreczka po następne płytki i aż podskoczył słysząc rumor walących się klocków. Tym razem narzędziem zniszczenia był zdalnie sterowany samochodzik. Bufon podniósł łeb, ale dla niego zabawa w wieżę była równie niezrozumiała co scrabble. Młasnął więc tylko językiem, ziewnął i kontynuował półdrzemkę na dywanie.

- Kacperku, prosiłam cię tyle razy! - zaczęła Jola. Zabrakło jej zwyczajowego argumentu o sąsiadach z dołu - niżej była tylko piwniczka, na górze wieczorne niebo, a za ścianami wydmy i rachityczne sosny ustalające wybrzeże. Za uchylonymi drzwiami na taras spokojnie szumiało morze.

Kacper nie słuchał matki zabierając się za konstruowanie nowej wieży.

Andrzej dopił piwo. Patrzył, jak Jola kładzie pięć liter na upatrzone dawno miejsce i dolicza sobie kolejne punkty zapominając o pouczeniu dziecka. Zgniół pustą puszkę i położył kilka liter w pierwsze lepsze miejsce na planszy. I tak już przegrał. Wstał i wyszedł na taras. Niedawno zaszła słońce z czarnej wody nadawało niebu seledynową poświatę stopniowo przechodzącą w granat. Spody smukłych chmur świeciły jeszcze wściekłym pomarańczem, ale niebo na wschodzie było już ciemnogrnatowe i naznaczone setkami migotliwych gwiazd. Kontury poszczególnych drzew zlewały się w jeden ciemny pas, a piasek plaży wydawał się być gładką powierzchnią. W oddali, nieco w głębi ładu, latarnia morska zamiatała ostrym światłem wybrzeże.

Domek w tak spokojnym i odludnym miejscu wart był swoich pieniędzy, choć po tygodniu Andrzej miał już nieco dość rodziny.

- Grasz dalej czy walkower? - zapytała Jola wychodząc na taras.

No tak, Jola. Po piwku szybki prysznic i do łóżeczka!

- Nie chce mi się już grać - odparł. - Zawsze wygrywasz, jak piję piwko.

Wstała i objęła go rękoma. .

- Mój ty ćwierćinteligencie... - szepnęła całując go w szyję.

- Zaraz twój ćwierćinteligent da ci klapsa - odparł, po czym głośniejszym głosem powiedział do syna: - Sprzątnij klocki. Mama cię zaraz wykąpie.

- Jeszcze tylko sześć i pół minuty - odparł Kacper nie przerywając budowania.

- Za sześć i pół minuty to masz leżeć w łóżku.

- Znów ja mam wykąpać nasze wspólne dziecko? - zapytała Jola.

- Możemy się zamienić: ja robię kąpiel, ty pijesz piwo.

Parsknęła śmiechem. Nie znosiła piwa. Odprowadził ją wzrokiem, klapnął na leżak, aż zatrzeszczał stelaż, i otworzył następną puszkę. Pił zimne piwo wsłuchany w szum morza i szum prysznic mając przed sobą parę minut absolutnego spokoju. Bufon swoim zwyczajem położył mu pysk na stopie. Rozmyślenia przerwał mu dopiero Kacper domagający się swojej wieczornej porcji czytania. Andrzej zgniół puszkę, poszedł do pokoju dziecięcego i sięgnął po książkę. Tatuś Muminka wyływał właśnie Symfonią. Mórz w swój pierwszy w życiu rejs, nieświadom sztormu, który wkrótce miał nastąpić.

Chłopczyk słuchał wpatrzony gdzieś w dal i przerabiał czytaną historię na własny film wyświetlany w jego prywatnym kinie. Bogate w tlen nadmorskie powietrze codziennie kończyło seans po kilku minutach, gdy widz i twórca w jednej osobie zasypiał przed własnym ekranem.

Jola wyszła z łazienki w jedwabnym szlafrocuku i posłała Andrzejowi porozumiewawcze spojrzenie.

- Miłych snów, myszko - szepnął do ucha śpiącemu dziecku. Odłożył książkę na stolik i zgasił lampkę.

* * *

"Obudził się w pustym łóżku. Za oknem było już jasno. Po paru wieczornych piwkach zawsze wstawał później niż Jola i do porannej kawy snuł się po domu nie mogąc wskoczyć na normalne obroty. Na urlopie każdy dzień kończył kilkoma piwkami, więc i każdy poranek wyglądał podobnie.

Wstał i powlókł się do łazienki. Parę minut później, nieco odświeżony, parzył sobie kawę i smarował pasztetem czerstwy chleb.

Wyszedł na taras przegryzając gorzką kawę kanapką. Bufon przywitał pana machając ogonem. Mężczyzna rozejrzał się, ale na plaży, w zasięgu wzroku nie było nikogo.

- A może poszli na grzyby... - powiedział do psa. Zwierzę przekrzywiło łeb nie rozumiejąc ani słowa.

Dokończył śniadanie i stał jeszcze chwilę patrząc na morze.

- Dobra, nie będę tu czekał bezczynnie. Jadę do miasta, do warsztatu. Ty pilnuj domu.

Przykleił kartkę z wiadomością do lodówki i wyszedł tylnymi drzwiami na niewielki podjazd. Odpalił stare Volvo i zawrócił w wyboistą leśną drogę słuchając z rozdrażnieniem pisku dochodzącego spod maski.

* * *

Mechanik ocenił czas naprawy na godzinę. Andrzej zarzucił na ramię plecak i wolno ruszył w kierunku deptaka biegnącego środkiem miasteczka aż do plaży. Zerknął na telefon. W rogu wyświetlacza migał symbol koperty. Odczytał wiadomość: „Pora wstawać”. Tylko tyle. Nadała ją Jola o dziewiątej rano. Prawdopodobnie to go obudziło.

Wybrał numer żony.

- Wybrany numer jest nieprawidłowy - usłyszał w słuchawce. Wpisał numer ponownie, ale znów usłyszał ten sam komunikat, powtórzony po angielsku. Westchnął. Może w tej dziurze to normalka?

Zrobił drobne zakupy i obszedł pustoszące po weekendzie miasteczko, próbując jeszcze kilka razy się dodzwonić. Wałających się śmieci nikt nie sprzątał - przez tydzień wiatr sam je wywieje w mniej widoczne miejsca. Andrzej nie miał nawet chęci na halibuta mimo aromatu przegrzanego oleju, którym atakowały go kolejne smaźalnie. Wrócił do warsztatu.

- Często macie tu problemy z komórkami? - zapytał mechanika. - Nie mogę się dodzwonić do żony.

- Jak przyjeżdżają turyści, tak się robi - odpowiedział tamten wycierając dłonie o czarny od smaru przód kombinezonu. - W środku sezonu. Pięćdziesiąt złotych się należy.

Andrzej dał mu banknot.

- Co to było?

- Naciąg paska. Niech pan zobaczy - wskazał palcem jakieś miejsce z boku silnika. Andrzej nie znał się na samochodach. Jedyne, co widział pod maską, to przewody, płoński i przyczepione do bloku silnika obłe kształty z dziesiątkami śrubek i uszczelek. Ich przeznaczenie pozostawało dla niego tajemnicą. - Nowa sprężyna wytrzyma dziesięć lat. Więcej niż reszta samochodu...

Andrzej podziękował i odjechał. Brak wkurzającego piszczenia istotnie podnosił komfort jazdy, ale nie myślał o tym. Mimowolnie przyciskał mocniej gaz - do środka sezonu było przecież jeszcze daleko.

Przed wjazdem w boczną drogę musiał zdecydowanie zwolnić. Zignorował dźwięki dochodzące spod podwozia - tłukącą się na wertepach rura wydechowa zapowiadała kolejne wydatki. Zaparkował niedbale i wbiegł do domu.

Kartka wisiała na lodówce, kubek po kawie stał na stole obok talerza pełnego okruszków i pozostałej z wczoraj planszy do gry. Gdyby Jola wróciła, natychmiast by z tym coś zrobiła.

Wyszedł na taras. Wiatr się wzmógł, a słońce znikło za delikatną mgiełką oblepiającą niebo. Bufon biegł plażą w jego kierunku szczerząc radośnie. Zatupełnił na schodach i dopadł pana.

„Gdzie jesteś, babo?” - pomyślał Andrzej odpierając ataki witającego się psa. Zszedł na piasek i przyjrzał się śladom. Wszędzie było pełno niewyraźnych odcisków butów i psich łapek. Uniósł wzrok. Fale były wyższe niż rano i tam gdzie docierały, piasek stał się równy jak stół.

Przeszedł na drugą stronę domku i zaczął oglądać pokryte sprężystą warstwą szarorudych igieł wydmy.

- Bufon! Szukaj pani! Gdzie jest pani? Gdzie Kacperek?

Pies radośnie podskoczył i zakręcił się na tylnych łapach. Na pewno czuł ich zapach, ale bez odpowiedniego treningu jego zmysł węchu, milion razy czulszy od ludzkiego, był beużyteczny.

Andrzej, nawołując, obszedł spory obszar lasu i plaży, po czym zmęczony usiadł na stopniach tarasu gapiąc się w morze. Pies położył mu pysk na bucie.

- Upewniasz się, że nie odejdę, gdy będziesz spał? -zapytał.

Z ociąganiem wybrał numer policji, by się dowiedzieć, że musi osobiście przyjechać na komisariat i złożyć zawiadomienie o zaginięciu. Siedział jeszcze chwilę. Potem wstał i wyciągnął z kieszeni kluczyki. To było jak milcząca zgoda na to, co się zdarzyło. Zaginęli.

* * *

Wrócił po godzinie. Usiadł na leżaku i zapalił papierosa. Otworzył pierwszą puszkę piwa, mimo że zamglone słońce stało jeszcze wysoko. Czy ten policjant coś zrobi? Dopisał dwa nazwiska do wiszącej na ścianie wyblakłej listy, którą chyba tylko on czyta. Za jakiś czas przekaże dane do komendy wojewódzkiej. Bez zdjęć będą to i tak niewiele znaczące ciągi liter.

„Czy zrobiłem wszystko, co w mojej mocy?” - Ta myśl przybiła go jeszcze bardziej. Cóż mógł więcej zrobić poza bieganiem po lesie? Zajął na dworzec autobusowy, by się dowiedzieć, że kasjerka nie pamięta żadnej kobiety z dzieckiem. Można, co prawda, kupić bilet u kierowcy. Zrobił kopie zdjęć, ale policjant ich nie chciał. Zajął do kilku kawiarenek i sklepów z zabawkami, choć tak na prawdę nie wierzył, by Jola z Kacprem pieszo pokonali cztery kilometry dzielące domek od miasteczka. Do morza też przecież nie wpadli - było płytkie jeszcze daleko od brzegu.

Fakt, mógł porozlepiać plakaty na słupach. Zrobi to jutro.

Wyjął z pudełka płytę CD i włożył do przenośnego odtwarzacza. Klapka nie dawała się domknąć, bo płyta była minimalnie za duża. Obejrzał ją pod światło, ale wyglądała normalnie. Wziął inną płytę, ale ona również nie pasowała. Przez chwilę gapił się w ścianę zastanawiając się nad tym, po czym cisnął płyty w kąt i zerwał się, tknięty zupełnie inną myślą. Wbiegł do domu, otworzył piwniczkę i wsadził do środka głowę. Pusto. Zamknął klapę i zabrał się za przeszukiwanie szaf. Przy okazji wyjął z lodówki kolejne piwo. Wyszedł z nim na zewnątrz i zajął pod dom. Część bliższa morzu stała na palach, ale między nimi nie było nikogo. Zasapany klapnął ociężale na leżak i otworzył puszkę. Piana chlapnęła na koszulę. To nie mogło być porwanie dla okupu. Nie byli bogaci, a Andrzej zamiast awansować, raczej stopniowo, nieformalnie staczał się w dół. Nie, nie porywa się rodziny komuś, kto ma ośmioletnie Volvo. Może wpadli w jakąś dziurę w lesie? Może kupili bilet u kierowcy?

Wyciągnął z kieszeni telefon i z ociąganiem wybrał numer swojej teściowej. Zrobił głęboki wdech słuchając sygnału oczekiwania.

- Dzień dobry, mam. Mówi Andrzej.

- Dzień dobry - głos w słuchawce przybrał oschły ton.

- Jola nie dzwoniła?

- Nie. Ja do niej dzwoniłam. Jej numer nie odpowiada. Chciałam już dzwonić na policję, żeby sprawdzili, co tam u was się dzieje.

- Mogła mama zadzwonić do mnie...

- Właśnie... Hm. Chyba zepsuł się jej telefon.

- Czy wszystko w porządku?

- Tak, ale muszę kończyć... Do widzenia! Zaciskając zęby, przesadnie mocno nacisnął przycisk rozłączania i wepchnął telefon do kieszeni. Poczłapał do kuchni i podgrzał w piekarniku mrożonkę. Wyszła tak paskudnie, że połowę wrzucił do psiej miski. Ze złością klapnął na leżak z kolejnym piwem w dłoni.

Latarnia zaczynała omiatać okolicę niewidocznym jeszcze światłem. Czy Kacper mógł wpaść na pomysł zaciągnięcia mamy do latarni? Czemu nie? Kilometrowy spacer to nie tak daleko.

* * *

Latarnik siedział na ławeczce przed małym domkiem z czerwonej cegły. Miał na głowie wypłowiały filcowy kapelusz. W zębach trzymał wygasłą fajkę. Andrzej przywitał się i pokazał zdjęcia.

- Nie było tutaj kobiety z czterolatkiem? - zapytał.

- Przy parkingu jest duża tablica z godzinami zwiedzania. Rzadko kto przychodzi kiedy indziej.

- A gdybym teraz chciał wejść na górę?

- Na górę można wejść tylko w poniedziałek, środę i piątek. Między dziesiątą a piętnastą.
- Dziesięć złotych.
- Niech pan zaczeka. Pójdę po klucz.

Krętymi metalowymi schodami wspięli się na pomost znajdujący się nieco poniżej szklanych osłon reflektora.

Na pełnym morzu, pozornie nieruchomo, stały trzy kontenerowce. Bliżej widać było biały domek wystający zza linii wydm, a dalej drgające w ciepłym powietrzu światła miasteczka. Wspinaczka nic nie dała. Las wyglądał jak zielony dywan.

Pod sobą mógł kryć cokolwiek.

Andrzej spojrział w dół doznając lekkiego zawrotu głowy. Warujący przed wejściem Bufon wyglądał stąd jak świnka morska.

- Myślę, że niedługo znajdzie pan odpowiedzi na wszystkie swoje pytania - odezwał się Latarnik.
- Pan coś wie? - Andrzej zrobił krok w jego stronę. Staruszek nie cofnął się, ale jakby bardziej zgarbił.
- To tylko przeczucie. Nic panu nie da.

- Pozwoli pan, że sam to ocenię?

Latarnik pokręcił głową.

- Ja tego nie potrafię wyjaśnić.

- Czy to ma związek z moją rodziną?

- Nie wiem. Może taki sam jak ze mną, z panem i ze wszystkimi ludźmi.

- Coś pan taki tajemniczy?

Tamten wzruszył ramionami.

- Ja to sobie muszę najpierw poukładać w głowie.

- Ile czasu to panu zajmie?

- Hm. Napije się pan herbaty?

- A ma pan może piwo?

- Nie pijam, ale sprawdzę w lodówce.

- Zeszli na dół. Pies przywitał właściciela, jakby rozłąka trwała tydzień. Latarnik zaparzył herbatę, przyniósł małą beczkową butelkę piwa bez etykiety i usiadł obok Andrzeja na ławeczce.

- Mało wysiłku pan wkłada w ich odnalezienie - powiedział.

- Żona mówi mi, że mało wysiłku wkładam we wszystko... ! tak nie mam pomysłu, gdzie jeszcze ich szukać.

Latarnik pokiwał głową, siorbnął stygnącej herbaty i powiedział:

- Siedzę tu sam całymi dniami i mam czas na przemyślenia. Parę rzeczy mi się nie zgadza. Detale... nie są takie, jakie być powinny.

- Detale?

- Detale... - Latarnik zamyślił się na dłuższą chwilę, po czym podjął wątek: - Reflektor z całym mechanizmem jest ciężki jak cholera. Obraca się na sporym pierścieniu z łożyskiem kulkowym. Muszę to sprawdzać raz w miesiącu, smarować. Wczoraj zobaczyłem, że zamiast pierścienia całość trzyma się na pręcie wetkniętym w dziurę w podstawie. Wie pan, jakby ktoś ukradł ten pierścień i podparł to prętem.

- Na złom sprzedali.

- Dwa dni roboty, żeby to wyciągnąć, a sam pierścień waży może z dziesięć kilo. Ale najdziwniejsze jest to, że nadal działa. - Wskazał palcem do góry. Na tle ciemniejącego nieba reflektor obracał się bezszelestnie.

- Pójdę już... - zdecydował Andrzej. - Może wrócili. Dzięki za piwo.

- Niech pan zwraca uwagę na detale. One znikają najpierw.

- Żona i dziecko to nie detale.

Nie wierzył, że wrócili, toteż nie zdziwił się zastawszy dom pusty. Zerknął na leżącą od wczoraj planszę scrabble i szeroko otworzył ze zdziwienia oczy. Wśród bezsensownych zbitek liter przez środek planszy szedł napis „Pora wstawać”. Rozejrzał się wokoło szukając intruza, ale pies zachowywał się zupełnie spokojnie. Nie było tu więc nikogo obcego. Skoro się nie cieszył, nie było też Joli ani Kacpra.

„Czy byłem wczoraj aż tak pijany?” - zastanawiał się patrząc na grę. Czy to możliwe, by trzeźwa Jola układała wyrazy takie jak „ladsujen” czy „midhrujn”? A może rano przełożyła literki. Ale po co? I po co ułożyła ten napis? To tak, jakby wieczorem obok łóżka zamiast budzika położyć kartkę z napisem „Wstawaj, już siódma”.

Wyciągnął telefon i wybrał numer komisariatu. Nikt nie odbierał. I cóż z tego? Od południa policjant pewnie był jedynie na patrolu w kiblu. Poczłł znajomy rodzaj pragnienia. Pełen pogardy dla siebie sięgnął do lodówki po kolejne piwo. Z przykrością je otworzył i zaczął opróżniać.

Z pierwszym łykiem pogarda przysła.

Położył się w ubraniu na łóżku i zakrył twarz dłońmi. Zasnął tak, jak się położył.

* * *

Zatrzymał się po przejechaniu stu metrów. Pasek klinowy znów piszczał. Wsiadł i uniósł maskę. Spojrzał na hałasujący silnik i przypomniał sobie, że nie zna się na tym. Jakies pudełko zwisało na kablu obok akumulatora. Chwycił je i wyciągnął urywając przewód. Silnik pracował nadal. Wyjął kolejny obruszony przedmiot, potem jeszcze jeden. Po minucie na poboczu leżała sterta złomu wyglądającego jak części przedpotopowych radioodbiorników. W komorze silnika nie zrobiło się od tego ani trochę luźniej.

Zatrzasnął maskę i wrzucił części do bagażnika. Wsiadł i ruszył w kierunku miasteczka. Nie wydawało mu się, żeby samochód działał gorzej bez tych wszystkich części.

* * *

Walenie w drzwi komisariatu nie odniosło żadnego skutku. Drzwi i okna były pozamykane na głucho. To samo, co pięć minut wcześniej w warsztacie. Miasteczko w ogóle wyglądało na wymarłe. Andrzej miał wręcz wrażenie, że teraz jest tu mniej domów, mniej ulic, mniej drzew. Martwy kurort poza sezonem. Martwy do kwadratu. Kopnął zgniecioną puszkę po coli. Brzęcząc odbiła się od krawężnika i znieruchomiła na chodniku. Zatrzymał się i popatrzył na nią przez chwilę. Podniósł i przyjrzał się jej dokładniej. „Skład: coca-cola 100%”. Następujące dalej napisy nie niosły ze sobą żadnych konkretnych informacji. Totalny bełkot, z którego Andrzej nic nie rozumiał. Może był to efekt wypitego wczoraj piwa?

Uniósł wzrok, gdy kątem oka zobaczył ruch. Dziewczyna wyglądała na zagubioną. Zatrzymała się i patrzyła na niego z niepokojem i zdziwieniem. Odrzucił puszkę i poprawił koszulę. Wiedział, że nie wygląda zbyt świeżo.

- Nie wiem, co się dzieje - powiedziała dziewczyna. - Zostałam sama.

Andrzej rozejrzał się dookoła. Na chodniku nie było nikogo innego. Dziewczyna podeszła i złapała go za rękaw, jakby bała się, że jej ucieknie.

- W recepcji nie było nikogo - powiedziała. - Na poczcie też nikogo nie ma. W kiosku z prasą widziałam jakąś kobietę. Drzwi były zamknięte, a ona nie chciała otworzyć.

- Wczoraj...

- Co tu jest grane?! - krzyknęła nie słuchając go. - W tym mieście nie ma nikogo! Chodzę od dwóch godzin.

- Wczoraj mnie też znikli najbliżsi.

Puściła jego rękaw i cofnęła się o krok. Miała potargane włosy i rozmazany makijaż. Bluzka częściowo wystawała jej z dzinsów i podwijała się na pasku od torby.

- Co się dzieje? - zapytała cicho.

- Sam chciałbym wiedzieć. - Odpowiedź była banalna. Nic innego nie przyszło mu do głowy.

- Nie jadłam jeszcze śniadania...

- Też jestem głodny. Może masz chęć na rybę?

- Wszystko jest pozamykane.

- Zobaczymy.

Poszła za nim do samochodu. Przytrzymał jej drzwiczki. Wsiadła i położyła torbę na kolanach. Patrzyła przed siebie.

Zamknął drzwi i obszedł samochód. Wsiadłszy na fotel kierowcy, zapalił silnik. Coś zabręczało i załomotało z przodu. Westchnął, wysiadł i podniósł maskę. Odgiął jakąś sprężynę i wyrzucił na trawnik metalowe pudełko z wystającym kawałkiem gumowego węża. To już zaczynało być męczące.

Miasteczko było wyludnione. Ludzie albo wyjechali, albo siedzieli w domach. Mimo ładnej pogody na ulicach nie było nawet pojedynczego turysty. Nieliczne samochody stały nieruchomo przy krawężnikach.

Andrzej zaparkował w pobliżu niewielkiego skweru. Wsiadł. Drewniany pawilon smażalni ryb, który jeszcze wczoraj wabił go smakowitą przypalenizną, był zamknięty. Zapukał, nacisnął klamkę i zajrzał przez okno. Sprawdził skobel i szarpnął kłódkę. Dziewczyna stała nieco z tyłu i przyglądała się biernie jego zabiegom. Po którymś szarpnięciu mechanizm przeskoczył i ku zdziwieniu Andrzeja kłódka po prostu się otworzyła.

Weszli do środka. Dziewczyna usiadła przy stoliku, a Andrzej zajął miejsce przy stole. Widok tak zapuszczonej kuchni każdemu wielbicielowi ryb mógł zepsuć smak. Dominował tu zapach starego, przypalonego i zjełczałego oleju. Pusta lodówka śmierdziała jeszcze gorzej. Kawałki ryb, leżące na wierzchu, nie nadawały się do zjedzenia. Jedynie frytki wyglądały na świeże. Podgrzał je w mikrofalówce nie myśląc o tym, co powiedziałby właściciel, gdyby nagle się pojawił. Frytki miały mączny smak, ale dały się zjeść z dużą ilością keczupu.

- Jak się nazywasz? - zapytał, gdy skończyli jeść.

- Aneta.

- Andrzej - przedstawił się pociągając łyk coli. Smakowała jak zawsze. - Niedaleko stąd wynajęłam domek przy plaży. Wczoraj rano żona i dziecko gdzieś przepadli. Jakby wstali i poszli przed siebie.

- Ja miałam to dzisiaj - powiedziała patrząc za okno. - Wynajęliśmy dwójkę z koleżanką i jej chłopakiem. Obudziłam się w pustym łóżku, w pustym hotelu.

Przejechał jakiś samochód podmuchem podrywając papiery z rynsztoka obok szarego pomnika. Widać nie wszyscy wyjechali. Pomnik... Czy stał tu wcześniej? Andrzej odstawił szklanke, otworzył drzwi i przeszedł przez skwer. Ni to żołnierz, ni to Batman. Dziwna, z grubsza ociosana postać wyciągała przed siebie rękę próbując coś chwycić, może się przed czymś zasłonić. Napis na cokole znowu sprawiał wrażenie bełkotu.

Aneta stanęła obok.

- Rozumiesz coś z tego? - zapytał Andrzej wskazując napis.

- Głowa mnie będzie boleć. - Odwróciła wzrok.

- Od czytania?

Przytaknęła. Andrzej poczuł pierwsze tego dnia ssanie alkoholowe. Przełknął ślinę.

- Gdzie jest ten sklep z prasą... kiosk? Ten, w którym widziałas kobietę.

- Niedaleko. Sto metrów. - Wskazała kierunek palcem.

Ruszył przodem, a ona podążyła tuż za nim, jakby bała się zostać sama.

Drzwi dały się otworzyć mocniejszym szarpnięciem. Zamek był przykręcony zbyt daleko od krawędzi drzwi, by w ogóle móc spełniać swoją funkcję. Instalujący go ślusarz nie grzeszył inteligencją. Andrzej wziął z lady pierwszą z brzegu gazetę i stwierdził, że niemal nic nie rozumie z pobieżnie przejrzanych nagłówek artykułów. Chwycił kolorowy magazyn o dziwnym tytule i przekartkował go. Potem kilka następnych. Czasopisma były wypełnione bezsensownymi zbitkami liter. Gdziekolwiek udawało się znaleźć zrozumiały wyraz lub krótkie zdanie.

Poczuł pulsowanie w skroniach i odłożył pismo.

- Miałam to samo - powiedziała Aneta widząc grymas na jego twarzy. - Już nie próbuję czytać.

Wyszedł na zewnątrz i oparł się o pokrytą graffiti ścianę. Kilka razy głęboko odetchnął i przyjrzał się dokładnie oknu. Szkło było z czterech stron zatopione w tynku, jakby murarz uprościł sobie robotę oszczędzając na ościeżnicach.

„Ciekawe, co zrobią, jak się sfucze?” - pomyślał.

Aneta wyszła i zamknęła za sobą drzwi. Między futryną a krawędzią drzwi pozostawał kilkucentymetrowy odstęp.

- Są za krótkie... - powiedziała patrząc na mężczyznę. - Przed chwilą były dobre.

Teraz zamek tym bardziej nie mógł działać. Zostawili drzwi i wrócili do miejsca, gdzie był zaparkowany samochód. Słońce stało w zenicie, ale dzięki delikatnej bryzie i pojedynczym obłokom nie było gorąco. Andrzej od razu uniósł maskę i osłupiał. Patrzył na obły silnik w kształcie leżącej starej pralki. Jakby ktoś włożył tu powiększenie elektrycznego silniczka ze zdalnie sterowanego modelu. Zgrzytnął zębami i powyciągał z wnętrza komory leżące luzem bezsensowne elementy i koła zębate. Odrzucił je w krzaki i zatrzasnął maskę. Detale... Detale się nie zgadzały. „Pieprzony dziadek miał rację.”

- Nie wiem, jak wytłumaczyć to żonie... - powiedział - ale może będzie lepiej, jak pojedziesz ze mną?

Zabrzmiało to nieco dwuznacznie, ale był pewien, że na razie nie będzie okazji do tłumaczenia się komukolwiek. Dziewczyna bez słowa wsiadła do samochodu i zerknęła na niego przez przednią szybę. Może nawet uśmiechnęła się lekko.

Kluczyk wszedł w stacyjkę jak w gumę i dał się obrócić dwa razy. Dopiero wtedy silnik zapalił. Mimo gazu wciśniętego w podłogę samochód przyspieszał leniwie. Był też jakby mniejszy, choć może wrażenie to powodowała obecność pasażera.

Andrzej, prowadząc jedną ręką, spróbował zadzwonić do teściowej. Usłyszał znajomy komunikat „Nie ma takiego numeru...”

- Pierwsza miła rzecz od dawna - mruknął wyjeżdżając z miasteczka.

* * *

Zaparkował starannie tym razem. Obszedł samochód i pomógł wysiąść Anecie. Przelotnie pomyślał, że nie pamięta, kiedy zrobił to dla Joli. Cały obraz żony zacierał się w jego pamięci. Zamykając samochód ponownie odniósł wrażenie, że jest mniejszy.

Bufon przybiegł do nich, radośnie machając ogonem. Przywitał się z panem i nieco nieufnie z dziewczyną.

Domek był dwupokojowy. Nie było sypialni. Za to salon wydawał się większy.

„Zgubne skutki picia” - pomyślał, odruchowo sięgając do lodówki.

- Chcesz? - zapytał dziewczynę.

Przytaknęła. Sprawnie otworzyła podaną puszkę i pociągnęła z niej solidnie nie prosząc o szklanekę. Położyła torbę na kanapie i zaczęła się rozglądać.

- Fajny masz domek.

- Wcięło jeden pokój. Poza tym jestem zadowolony.

- Wcięło pokój?

- Taki kraj. Starczy, że wyjdiesz na dwie godziny, żeby ukradli sypialnię.

Uśmiechnęła się.

Andrzej wziął do ręki pilota od telewizora. Nie znał przeznaczenia połowy przycisków, choć używał ich przecież od tygodnia. Udało mu się włączyć telewizor po kolejnej próbie. Obraz był ciemny i matowy. Dźwięku nie było. Odbiornik sam zgasł po kilku sekundach.

Wziął płytę CD i włożył do przenośnego odtwarzacza, ale klapka nie dawała się domknąć. Płyta nadal była za duża. Detale... Sprawdził kolejno kasetę magnetofonową, szpulkę filmu do aparatu, wtyczkę golarki i nakrętkę do termosu. Każda z tych rzeczy była minimalnie za duża, za mała lub miała nieodpowiedni kształt. Dziewczyna przyglądała się jego zabiegom nie komentując ich.

Andrzej usiadł zrezygnowany. Nic nie rozumiał, nie wiedział nawet, o czym rozmawiać z dziewczyną. Lata małżeństwa odesłały w zapomnienie umiejętność swobodnej rozmowy. Nie wiedział w ogóle, co dalej robić. Wieczorem trzeba będzie iść spać... raczej osobno. Na pewno osobno! Ale jak? Nie pamiętał nawet, gdzie były drzwi do sypialni.

„Jola... jak wyglądała? Kacper...” - wybiegł na plażę i cisnął puszkę w morze. Poczul, że wilgotnieją mu oczy. Brakowało mu czegoś, czego już prawie nie pamiętał.

Fale uderzały o gładki brzeg, a mewy unosiły się w powietrzu jak na kliszy starego, ośmiomilimetrowego filmu. Prawie widział ziarno i pionowe rysy. Nie było tylko terkotu projektora.

Poczul na ramieniu drobną dłoń. Dziewczyna objęła go w pasie i przytuliła policzek do jego pleców, jakby znali się lata. Poczul się lepiej, choć wiedział, że to on powinien ją pocieszać, a nie odwrotnie.

- Chodźmy - powiedział. - Chodźmy do kogoś, kto wie więcej.

* * *

Latarnik zobaczył ich ze sporej odległości i zniknął we wnętrzu domu. Po chwili pojawił się trzymając w dłoni dwie butelki piwa.

Andrzej poczul nagły przypływ złości. Złapał go za poły kapoty.

- Ty coś wiesz! - krzyknął mu w twarz. - Powiedz mi, co tu się dzieje! Mnie też detale się nie zgadzają!

Jedna butelka upadła rozbijając się i zalewając klepisko białą pianą.

- Puść go! - Aneta odciągnęła go od Latarnika. Opamiętał się.

- Przepraszam... Ja... zapominam.

- Nie szkodzi. To zrozumiałe - powiedział Latarnik ani trochę nie obruszony. Poprawił kapotę. Podał dziewczynie piwo, ale ta oddała je Andrzejowi, który pociągnął łyk i zapytał znacznie spokojniej:

- Powiedz mi, co tu się dzieje? Tracę kontrolę... Czy już ułożyłeś sobie to wszystko, żeby mi wyjaśnić?

Latarnik pokiwał głową uśmiechając się smutno. Wszedł do domu i po minucie pojawił się, w jednym ręku trzymając butelkę piwa, w drugim wielką lornetkę. Piwo podał dziewczynie. Butem kopnął resztki szkła pod ławkę i gestem kazał im iść za sobą.

Wdrapali się na szczyt latarni. Reflektor o tej porze jeszcze się nie obracał.

Andrzej zasapał się bardziej od starszka i dziewczyny razem wziętych. Na uspokojenie wypił pół butelki krztusząc się pod koniec.

- Dbasz o moją kondycję - powiedział, gdy się wykaszał. - To miło, ale po co tu weszliśmy?
Latarnik palcem nabił fajkę i przypalił zapałką, drugą ręką osłaniając płomień od wiatru.
- Pamiętasz, jak nazywa się to miasto? - zapytał. Andrzej zmarszczył czoło, próbując sobie przypomnieć.

- Łeba?... - powiedział niepewnie.

- Ma deptak prostopadły do morza. Taki jak we Władysławowie.

- Fakt... ale pamiętam kino... kino „Rybak”. Jest w Łebie. Chociaż deptak... nie ma tam deptaka.

- Jest też drewniany kościółek. - Taki jak na Helu...

Latarnik podał mu lornetkę.

- Obejrzyj to sobie dokładnie.

Andrzej przyłożył lornetkę do oczu i ustawił ostrość. Miasteczko wydawało się mniejsze, niż gdy był tam rano. Hotel „Neptun” z czerwoną spiczastą wieżą stykał się niemal z portem rybackim. Pomnik żołnierza-Batmana stał zaraz obok. Dalej kilka dachów i las. Dawało się rozpoznać dworzec autobusowy, kościółek, komisariat i warsztat.

- Ani Łeba, ani Władysławowo - wyjaśnił Latarnik. - To miasteczko to zbitka elementów nadmorskich miasteczek, które znasz. Wiesz, że w Polsce nie ma domków na plaży?

Andrzej nakierował lornetkę na domek, czy raczej na miejsce, gdzie przed chwilą był domek. Teraz stała tam zaledwie szopa. Obok parkował mały niski kabriolet. Prawie gokart.

- To nie tak miało być - powiedział opuszczając lornetkę - zupełnie nie tak. Miało być morze, piwo i spokój.

Bufon połaskotał go w szyję. Andrzej wepchnął niesforną świnkę morską z powrotem do kieszeni.

- Wszystko mi się rozplywa... - powiedział ciszej. - Czuję się, jakbym śnił.

- Bo to jest sen - powiedział Latarnik. - Twój sen. Przemyślałem sobie to wszystko. To jest twój sen, a my ci się tylko śnimy.

Andrzej patrzył na niego z szeroko otwartymi oczami. Anecie nie spodobał się ten pomysł. Zmarszczyła brwi i powiedziała:

- Za dużo pan czyta głupot. Kiedyś tak się pan zaczyta, że nie włączy pan latarni i wywalą pana z pracy.

- Jak to możliwe? - zapytał Andrzej. - Rozmawiam z wami...

- Sam ze sobą rozmawiasz. - Latarnik wyglądał teraz jak uniwersytecki wykładowca w tweedowej marynarce, drucianych okularach i z fajką w dłoni. - Twój mózg stworzył nas, dając nam nieco wolnej woli, ale jesteśmy tobą. Ten świat istnieje od dwóch dni. Wszystko, co wydarzyło się wcześniej, zostało dopowiedziane w zarysach.

- Nigdy nie śpię tak długo - powiedział Andrzej.

- Pozorny upływ czasu jest szybszy niż na zewnątrz snu. O wielu lukach w jego ciągłości nawet nie wiesz. Powoli zaczynasz się budzić i wszystko wokoło się rozłązi.

- Patrzą na statki... czy to tylko obrazki na horyzoncie?

- Teraz to tylko obrazki-hasła, które identyfikujesz jako „odległe statki”, ale jak do nich dopłyniesz, zostaną ubrane w nowe detale. Jeśli zaczniesz rozmawiać z kapitanem któregoś, okaże się, że ma rodzinę. W trakcie rozmowy stworzony zostanie nawet nauczyciel matematyki jego syna, jeśli o niego zapytasz. Ale najpewniej nie uda ci się tam dostać, bo twój umysł nie zna się na statkach. Utrudni ci dostęp, żeby się nie przemęczać.

- Mój sen, mówisz...

Andrzej chwycił otaczającą okrągły pomost balustradę, zrobioną ze stalowej rury, i pociągnął do góry. Bez wysiłku oderwał ją od podpór, jakby była z papieru, i uniósł do góry. Wiatr porwał wielkie hula-hoop i zaniósł je nad morze.

Andrzej wziął dziewczynę za rękę i zbiegł po schodach.

- Zacząłeś właśnie śnić świadomy sen - krzyknął za nim wykładowca celując w niego fajką. - To może być niezła zabawa!

Drzwi wejściowe do latarni były tak wąskie, że ledwo się przez nie precisnęli.

- Wierzysz w to, że ja ci się śnię? - zapytała dziewczyna.

- Nie wiem, ale to miło z jego strony, że nie uznał tego wszystkiego za własny sen.

Zatrzymał się i spojrzał w górę. Latarnia była wąskim kominem z kloszem osłaniającym zatknięty na górze reflektor. W środku komina nie mogło być miejsca na schody. Drzwi wejściowe były na tyle wąskie, że z trudem dałoby się włożyć do środka rękę.

- W jaki sposób dostaliśmy się na górę? - zapytał Andrzej. - To... senny regres. Detale znikają. Może nie mamy już nawet serc.

- Chodźmy do samochodu - powiedziała Aneta. - Latarnika nie było. Nigdy go nie było.

Między rzadkimi karłowatymi drzewami biegli w kierunku domu, ale domu też nigdy nie było. Kilka szafek w połowie zagrzebanych w piasku marszczyło się ze starości. Zamiast samochodu na podjeździe stał mały model z klocków Lego Technic.

Kilka kroków od podjazdu znajdowała się teraz droga do miasteczka. Stał na niej biały Polonez. Podeszli do niego. Z bliska widać było, że zbieranina blach, szkła i gumy tylko w ogólnym zarysie przypomina Poloneza. Wsiadli do środka. Drzwi nie dawały się zatrzasknąć - były zbyt krótkie i po domknięciu krawędź nie sięgała do słupka. Andrzej odepchnął się kilka razy nogą od asfaltu i dopiero wtedy samochód zaczął przyspieszać. Wciskając gaz mężczyzna poczuł, że jego piwny brzusek gdzieś znikł, a on sam znów jest silny i młody. Aneta też dostrzegła różnicę całując go namiętnie w usta.

Podróż trwała minutę, godzinę, a może dłużej. Niespodziewanie szli już ulicami Warszawy trzymając się za ręce. Plac Defilad zastawiony był błyszczącymi wieżowcami wyższymi od Pałacu Kultury. Przy Placu Bankowym powstawał właśnie kolejny drapacz chmur. Widać było ciężkie wywrotki manewrujące gdzieś na dwudziestej kondygnacji.

- Naprawdę sądzisz, że to twój sen? - zapytała Aneta wieszając się na ramieniu mężczyzny. Miała teraz długie czarne włosy. - Jak dla mnie, to wszystko wygląda całkiem normalnie.

- Popatrz na te samochody. To tylko kanciaste kształty na kołach. Każdy z nich stanie się samochodem dopiero, jak do niego podejdziemy... Chyba położyłem się spać po niezłym picciu.

- Skoro to sen, to podaj mi PINy do twoich kart.

- Możesz je wykorzystać po przebudzeniu. Zresztą nie pamiętam ich.

- Jak mam je wykorzystać, głuptasie? Jak się obudzisz, ja zniknę.

- Hm. Racja. Ale nie ma pewności, że to nie jest twój sen.

- Jeśli mój, to ciebie nie ma, tylko mi się śnisz. Więc możesz mi je podać...

- Rzadko pamiętam sny.

- To tak, jakbyś umarł, a na twoim miejscu, pojawił się ktoś inny. Jeśli zapomnisz swój sen, będziesz w tej samej sytuacji co ja... Mimo wszystko trochę ci zazdroszczę. Jutro znów przyśni ci się kilka nowych snów. Zazdroszczę wszystkim ludziom na zewnątrz.

Chodnik niepostrzeżenie zamienił się w wąską galeryjkę nad ulicą. Barierka była wychylona na zewnątrz i nie sprawiała solidnego wrażenia. Skręcili w którąś bramę i po chwili szli Nowym Światem zamienionym w wielki kryty pasaż handlowy. Żołnierz-Batman ubrany w pasiasty podkoszulek sprzedawał lody i wyglądał teraz jak Jean Paul Gaultier. Aneta była Jolą, choć wyglądała zupełnie inaczej. Kacper bawił się z młodszą siostrą w witrynie sklepu z zabawkami. Andrzej pomachał do nich nie zatrzymując się. Byli pod dobrą opieką Bufona, który popijał lemoniadę siedząc w fotelu. Miś na baterie wychylił się z witryny sklepu i powiedział trzeszczącym głosem:

- Miś mówi „pora wstawać” . .

Szerokimi schodami zeszli z Nowego Świata nad Wisłę. Nie było widać drugiego jej brzegu. Rosnące na podmokłościach krzewy miejscami osiągały wysokość drzew.

- Las! Miałem kogoś szukać w lesie! Kogo...?

- Dziś jest sobota. Nie musisz nic robić.

Podeszli do latarni morskiej. Była wielka; wysokością dorównywała wieżowcom w centrum.

Otworzyli ciężkie drzwi i weszli do środka. Wysoko w górze mała jasna kropka wskazywała koniec kręconych schodów. Pokonali je bardzo szybko i znaleźli się na wielkim tarasie. Rozciągała się stąd panorama miasta. Budynki sprawiały wrażenie, jakby zbudowano je z klocków, a nieliczne wieżowce stały się mniejsze, niknąc prawie w gęstej zabudowie centrum. W dole przelatowały pasażerskie odrzutowce, ale w dół nie dawało się patrzeć bez zawrotów głowy. Taras znajdował się na szczycie niezwykle stromej góry obudowanej ściśle domami ze spadzistymi dachami. Może nawet nie była to góra, tylko poustawiane na sobie budynki.

- Co to za blask? - zapytała Aneta. Jej twarz oświetlał wschód drugiego słońca.

Andrzej odwrócił głowę mrużąc oczy. Biały mglisty bąbel pochłaniał świat pełnąc po ziemi i zakrywając sobą miasto. Rosnąc wsysał chmury wraz z samolotami i ptakami. Jaśniał bielą. Wszystko, co znalazło się wewnątrz, traciło realność, gubiło detale i wreszcie znikało w nieokreśloności rozmywającej różnice między puszką piwa, półnutą a zmęczeniem długiej wędrówki.

- Czy to jest... przebudzenie? Koniec snu?

- To jest coś, czego nigdy nie pamiętamy - powiedział Andrzej. - Pora-wstawać.

Taras przestał być tarasem. Miasto stawało się trochę bezbarwną przestrzenią wypełnioną nieokreślonymi kształtami drgającymi w rytm niczego, a trochę zbiorem obco brzmiących wyrazów, choć mógł to być równie dobrze ledwie uchwytny zapach smażonej ryby bądź źle dostrojone radio. Nie istniały żadne punkty odniesienia ani żadne wzorce do określenia czegokolwiek. Ostatnie resztki znaczeń posiadały niektóre słowa, ale ułożone w zbyt długi ciąg rozsypywały się na tapczanie, by już więcej się nie unieść. Pomysły wraz z wodą szły szeregiem w prawo. Na górze ciemne światło nie rozpraszało nieistniejącego mroku.

* * *

Było pochmurno i siał rzadki deszczyk. Andrzej miał kiepski humor. Szybkim krokiem szedł przez parking trzymając za rękę Kacpra.

- Na co jesteś taki zły, tati? - zapytał chłopczyk ledwo nadażając za ojcem.

- Nie wyspałem się. Późno się położyłem, a do tego miałem zły sen.

- I wypileś dwa piwka?

Andrzej rzucił mu krótkie, zaskoczone spojrzenie.

- Po piwku lepiej mi się śpi - wyjaśnił. Otworzył stare Volvo kombi i zapiał Kacpra w foteliku.

- Jaki to był sen, tatusiu?

- Taki mały koszmarek - odparł Andrzej. Wsiadł do samochodu i zapalił silnik. - To był bardzo rzeczywisty i dosyć skomplikowany sen. Nie znoszę takich. Siedziałem w biurze i robiłem bilans. Kalkulator nie działał, komputer się wieszał i wszystko mi się myliło.

- Co to znaczy „robić bilans”?

- Nie chcesz tego wiedzieć. - Andrzej zaśmiał się wyjeżdżając z parkingu. - Dzisiaj, kiedy ty będziesz się bawił w przedszkolu, ja naprawdę będę robił bilans.

- Zawsze pamiętasz swoje sny?

- Nie... Pamięta się tylko te sny, które zostały przerwane przebudzeniem. Te, które wyśniły się do końca, są skazane na zapomnienie. A co się dzisiaj śniło mojej myszce? Pamiętasz swój sen?

- Jasne! - przytaknął z zapalem Kacper. - Śniła mi się plaża, biały domek i latarnia morska.

Rafał Kosik